Egzemplarz ten, pochodzący z księgozbioru ks. Stefana Pawlickiego, jest unikatem pierwszego, dla prywatnej tylko cyrkulacji przeznaczonego wydania „Dioklesa", wydrukowanego w Krakowie z początkiem października 1906 r. Poprawki są z ręki autora. Zob. A. Birkenmajer, Nieznane rarissimum sienkiewiczowskie, w księdze pamiątkowej p.t. „Na dziesięciolecie Bibljoteki Miejskiej w Bydgoszczy", Bydgoszcz 1931, str. 144-153.



Diokles.
Baśń ateńska
przez
H. Sienkiewicza



Boski Sen ukoił Ateny, i w ciszy głuchej można było nieledwie usłyszeć oddech śpiącego miasta. Blask księżyca pogrążył, jakby w rozlewnej, srebrnej i sennej kąpieli, wzgórza, akropol, świątynie, lasy oliwne i kępy czarnych cyprysów. Ucichły fontanny, zasnęły straże scytyjskie przy bramach, zasnęło miasto, zasnęła okolica.

Wśród głębokiej nocy czuwał tylko młody Diokles — i wsparłszy czoło na stopach posągu Pallady, bielejącego w ogrodach Akademii, objął ramionami nogi bogini i wołał:

— Ateno, Ateno! ty, która niegdyś zjawiałaś się widomie oczom ludzkim, usłysz mnie! zmiłuj się nademną! wysłuchaj mojej modlitwy!

I oderwawszy czoło od marmurowych nóg Dziewicy, wzniósł oczy ku jej twarzy, którą rozświecał w tej chwili wąski promień księżyca, — lecz odpowiedziało mu milczenie. Nawet, zwykły w godzinach nocnych, lekki powiew od morza ucichł i żaden liść nie poruszał się na drzewach.

Więc serce wezbrało w chłopcu żalem niezmiernym, a żal ów począł mu spływać łzami po cudnej twarzy.

— Ciebie jedną chcę czcić i wysławiać nad wszystkie bogi — błagał dalej — ciebie jedną, patronko moja! Aleś ty sama wlała mi w duszę tę tęsknotę i tę żądzę, która mnie pali jak ogień. Zgaś ją, albo ją nasyć, o boska! Daj mi poznać Prawdę najwyższą, Prawdę prawd, duszę wszechrzeczy, a ja w ofierze złożę jej życie i wszelkie jego rozkosze. Zrzeknę się bogactw, oddam młodość, piękność, miłość, szczęście i nawet sławę, którą ludzie poczytują za największe dobro i największe błogosławieństwo bogów.

I znów bił czołem w marmur, a modlitwa płynęła mu tak z głębin duszy, jak dym ofiarny płynie z ka-

dzielnicy. Cała jego istność zmieniła się w siłę błagalną. Zapamiętał się u stóp bogini, zapomniał gdzie jest, co się z nim dzieje; ogarnął go niby pół-sen, w którym została mu jedna-jedyna świadoma, a zarazem nieprzeparta myśl, że na takie zaklęcie odpowiedź nadejść powinna.

* * *

Jakoż nadeszła.

Gałęzie oliwek i wierzchołki cyprysów zachwiały się nagle i poczęły się pochylać, jakby zerwał się w tej chwili wiatr nocny, a szum liści i cyprysowych igieł zmienił się w ludzki głos, który zabrzmiał w górze, i po całym ogrodzie, jakby wielu ludzi wołało naraz ze wszystkich stron:

— Dioklesie! Dioklesie!

Chłopiec drgnął, rozbudził się i jął rozglądać się dokoła, w mniemaniu, że może towarzysze szukają go po nocy.

— Kto mnie woła? — zapytał.

A wtem marmurowa dłoń oparła się na jego ramieniu.

— To ty wołałeś — rzekła bogini — więc wysłuchałam cię i otom jest przy tobie.

Boska trwoga podniosła włosy na głowie młodzieńca: padł na kolana i począł powtarzać, zarazem w przerażeniu i zachwycie:

— Tyś przy mnie? — niepojęta, straszna, niewysłowiona!...

Lecz ona kazała mu powstać i rzekła:

— Chcesz poznać Prawdę najwyższą, jedyną, która jest duszą świata i istotą wszechrzeczy. Wiedz jednak, że nikt z potomków Deukaljona nie widział jej dotychczas bez osłon, które dla oczu ludzkich zakrywają ją i będą zakrywały nazawsze. Drogo ci może przyjdzie okupić zuchwałą twą żądzę, ale żeś mnie przez życie własne zaklął, przetom gotowa ci dopomódz, jeśli dla niej wyrzekniesz się bogactw, władzy, miłości i sławy,

która, jako rzekłeś, jest największem błogosławieństwem bogów.

— Wyrzekam się świata całego i nawet słońca! — zawołał z zapałem Diokles.

Cyprysy i oliwki schylały wciąż wierzchołki przed potężną córką Diosa. Zdawało się, że bogini rozmyśla nad przysięgą młodzieńca.

— Lecz — rzekła po chwili — i ty nie ujrzysz jej odrazu. Co roku tylko poniosę cię ku niej w noc podobną, a ty odwiniesz jedną zasłonę i rzucisz ją za siebie. Mocą zaś moją nieśmiertelną sprawię, że nie umrzesz, póki nie odwiniesz ostatniej. Czy zgadzasz się na to, Dioklesie?

— Niech się spełni i spełnia zawsze twa wola o Pani mądra! — odpowiedział młodzieniec.

Wówczas bogini, zzuwszy marmurową odzież, zmieniła się w kształt promienny i lekki jak światło, poczem schwyciwszy Dioklesa na ręce, wzbiła się w górę i poczęła przecinać chybkim lotem boski eter, podobna do jednej z tych gwiazd, które w noce letnie przelatują tak często nad uśpionym Archipelagiem.

* *
*

Lecieli wartko, jak myśl, aż zatrzymali się w nieznanej krainie, na niebotycznej górze, wyższej niż Olimp, Ida, Peljon i Ossa. Tam, na stromym szczycie, ujrzał Diokles jakby postać niewieścią, owiniętą tak szczelnie w liczne zasłony, że prawdziwych jej kształtów niepodobna było rozpoznać. Naokół owej postaci drgało jakieś dziwne, tajemnicze światło, odmienne od wszystkich świateł ziemskich.

— Oto jest Prawda — rzekła Atena. — Widzisz, jak promienie jej, chociaż przyćmione przez zasłony, przenikają je jednak i świecą. Gdyby nie słaby ich odblask, który pada na ziemię i który chwytają źrenice mędrców, ludzie, jak mieszkańcy krain Cymeryjskich, brodziliby w ustawicznym mroku nocy.

— Przewodniczko niebieska — odpowiedział Dio-

kles — gdy zerwę pierwszą zasłonę, prawda mi jaśniej zaświeci.

— Zerwij — rzekła bogini.

Więc Diokles chwycił za tkaninę i ściągnął ją z Prawdy. Żywsze światło zajaśniało mu zaraz w oczach, i cały zapatrzony w promienną postać, nie zauważył nawet, że zasłona, gdy ją wypuścił z rąk, zmieniła się w białego łabędzia i uleciała w dal mroczną.

I stał długo przed Prawdą — znów jakby w półśnie, — oderwany od życia, wyniesion w zaświatowe przestwory, próżen ziemskich myśli, z nieznanej istności nieznaną moc czerpiący i uciszony w sobie.

— O jasna! — mówił, — o wieczysta! o duszo świata!....

* *
*

Dotrzymał złożonej przed bóstwem przysięgi. Był bogaty, więc gdy nieraz przechadzał się z rówieśnikami, czy to w ogrodach Akademosa, czy po drodze wiodącej na Akropol, czy wśród lasów oliwnych między miastem i portem, przyjaciele zwracali się ku niemu ze zdziwieniem i wyrzutami.

— Dioklesie! — mówili — ojciec twój nagromadził skarbów bez miary, a ty rządzisz niemi dowolnie. Czemu to nie wyprawiasz nam uczt wspaniałych, takich, jakie dla młodych ateńczyków wyprawiał bogom podobny Alcybiades? Dlaczego gardzisz biesiadną rozmową, tańcem, głosem formingi i cytry? Czyś się do cyników zapisał, że nie dbasz nawet o dom własny i komnat nie zdobisz, jak taki pan zdobić je powinien? Rozważ, że i bogactwo jest darem bogów, którego niewolno odrzucać.

A Diokles odpowiadał im pytaniem:

— Powiedzcie, zali Prawdę można kupić nawet za wszystkie skarby króla perskiego?

Więc niektórzy nie szczędzili mu przygan, ale byli i tacy, którzy mniemali, że wyrośnie z niego mędrzec wielki, większy może od wzniosłego Platona.

On zaś trwał w ubóstwie.

Ale zato pewnej jasnej nocy druga zasłona uleciała mu znów łabędziem z rąk w ciemne przestworze, i Prawda prawd zajaśniała mu jeszcze silniej przed oczyma.

* *
*

Był ślicznym młodzieńcem. Pierwsi dostojnicy w Atenach, filozofowie, sofiści i poeci błagali go o przyjaźń, aby przez wpatrywanie się w jego piękność zbliżyć się do piękna przedwiecznych idei...

Ale on odrzucał ich dary, zabiegi i przyjaźń...

Dziewczęta, które zbierały się przy fontannach na Stoa i na Ceramiku, oplątywały go warkoczami i zamykały w kołach tanecznych. Przecudne, do nimf podobne, hetery rzucały mu nieraz pod nogi poświęcone Adonisowi gałązki kopru, lub próbowały szeptać mu do ucha przez kielichy rozkwitłych lilji i powojów słowa pieściwe i słodkie, jak muzyka fletów arkadyjskich...

Wszystko napróżno!

* *
*

— Pójdź — mówiła mu raz najpiękniejsza z dziewczyn ateńskich, prawdziwa wcielona Charyta: — oczy moje, jak gwiazdy świecące, włosy jak wonne hijacenty, a łono moje, jak łono Heleny. Pójdź, Dioklesie, albowiem nawet bogowie w niebie nie znają większej rozkoszy nad miłość.

Lecz Diokles uśmiechnął się tylko smutnie i odrzekł:

— I ten ptak, o boska, odleciał już daleko ode mnie.

Jakoż trzeci łabędź rzeczywiście odleciał od niego trzeciej czarownej nocy.

* *
*

Poczęły płynąć lata, jak obłoki, które nad Atenami burzliwy Boreasz pędzi zimą od przepaścistych gór Trackich ku morzu. Diokles z młodzieńca stał się mężem dojrzałym. Rzadko brał udział w dysputach filo-

zofów, rzadko zabierał głos w sprawach publicznych, jednakże w mieście poczęto podziwiać jego wymowę i mądrość. Niejednokrotnie obywatele ofiarowywali mu wysokie urzędy, a znajomi i przyjaciele namawiali go, aby chwycił ster nawy ojczystej i wyprowadził ją z odmiałów i wirów na spokojne wody. Ale on widział, jak już w Atenach rozprzęga się żywot społeczny, jak wśród nienawiści i walk stronniczych ginie miłość ojczyzny, jak jego przestrogi, niby ziarna skazane na zatratę, na płonną i zdziczałą padają rolę, więc tem bardziej odpychał od siebie tę władzę, której się ślubem wyprzysiągł. I raz, gdy tłumy chciały go niemal zmusić, aby stanął na ich czele, rzekł im:

— O Ateńczycy! sami sobie jesteście nieprzyjaciołmi. Jako człowiek, mam dla was łzy, ale gdybym był nawet bogiem, rządzićbym wami nie potrafił.

* *
*

Wszelako po wybuchu wojny, poszedł wraz z innymi bronić ojczystego grodu i wrócił okryty ranami. Gdy jednak najmężniejszym rozdawano wieńce na Akropolu, nie było go w orszaku wojowników i nie pozwolił wyryć swego imienia na desce miedzianej, którą zawieszono w świątyni.

* *
*

Wzgardził wreszcie większą jeszcze sławą, którą mógł na igrzyskach uzyskać. Pod starość sklecił z gałęzi wierzbowych chatę koło kamieniołomów Pentelikonu i porzuciwszy miasto, usunął się zdala od ludzi. Zwolna zapominano też o nim w Atenach, a gdy przychodził czasem na rynek, aby kupić chleba i oliwy, znajomi przestali go w końcu poznawać.

I tak żył długo samotny, wyniosły, zamknięty w sobie i w jakimś ogromnym, choć cichym i łagodnym smutku pogrążony.

* *

Upłynęło jeszcze kilka Olimpjad. Włosy zbielały na głowie Dioklesa, postać pochyliła się ku ziemi, oczy zapadły wgłąb czaszki i starość wyssała mu siły. Krzepił się tylko myślą, że jeśli wkrótce przyjdzie mu porzucić podsłoneczną krainę, to przedtem jeszcze zobaczy Prawdę najwyższą, przedwieczną Macierz wszystkich prawd w świecie.

A czasem myślał także, że jeśli Parka nie przetnie zaraz potem nici jego życia, to może wróci do miasta, do ludzi i przyniesie im więcej, niż przyniósł ongi Prometeusz.

* * *

Aż nakoniec nadeszła wielka mistyczna noc, w której bogini chwyciła go znów w ramiona i zaniosłszy na niebotyczną górę, postawiła go przed Prawdą.

— Patrz — rzekła — jak Ona pała już i świeci. Ale, nim wyciągniesz ku niej dłonie po raz ostatni, wysłuchaj pierwej słów moich. Owe zasłony, które w ciągu długich lat odlatywały od ciebie jako łabędzie, to były złudzenia twojego żywota. Jeśli ci żal ostatniego, lub jeśli obawa napełnia ci serce, to cofnij się, póki czas jeszcze, a ja cię zniosę z tych wyżyn, abyś, jak inni ludzie, domierzył w padole dni swoich.

— Życiem poświęcił dla tej jednej chwili! — zawołał Diokles.

Poczem zbliżył się z biciem serca ku pałającemu posągowi, mrużąc powieki, chwycił drżącemi rękoma ostatnią zasłonę, zerwał ją i rzucił za siebie.

Nagle stało się coś strasznego.

W tej samej chwili w oczy jego uderzył jakby grom — i ogarnęła go ciemność tak okropna, że najczarniejsza noc Hadesu wydać się mogła przy niej dniem białym.

A wśród takiej nocy rozległ się pełen niewysłowionej trwogi i bezbrzeżnego bolu głos Dioklesa:

— Ateno! Ateno! nic niema pod zasłoną i nic nie widzę!!!

Lecz na ów krzyk rozpaczy, odpowiedziały mu surowe słowa bogini:

— Oślepły od blasku Prawdy twoje źrenice, i uleciało ostatnie złudzenie, że śmiertelnik może ją ujrzeć bez osłon. —

Zapadło milczenie . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— Zwodzisz zawsze tych, którzy ci zaufają, — jęknął Diokles — więc zawiodłoś i mnie, bóstwo okrutne i kłamliwe. Ale skoro nie ujrzę już nigdy Prawdy Najwyższej, to ześlij mi choć śmierć-wybawicielkę.

I taki żal nadludzki drgał w jego słowach, że wzruszył nawet Atenę.

Więc położywszy mu dłoń na nieszczęsnej głowie, rzekła łagodnie:

— Oto ci ją zsyłam, Dioklesie, a z nią razem i ostatnią nadzieję, że gdy cię ona ukoi, wówczas ujrzysz tę jasność, od której za życia oślepły twoje oczy.

* *
*

Noc bladła i mdlała, ale świt wstawał szary, zimny, smutny. Z chmur nagromadzonych na niebie poczęły padać obfite, gęste, białe płatki śniegu i zasypywać śmiertelne szczątki Dioklesa.